

PRZEPRASZAM, CO TU OBCINAJĄ?

— Przepraszam, gdzie tu jest bar? — najpierw zapytał bileterkę lekko „zawiany” obywatel, którego skusił nowy neon pt. „Obciach”.

Bo „Obciach” zaczyna się już na zewnątrz budynku teatralnego, co uważam za pyszny pomysł, par excellence prowadzący do obciachu, czyli sytuacji niezręcznej, przegranej.

Potem też są w spektaklu sytuacje przegrane i ludzie przegrani. Koboty. Trzeba sobie od razu ich nazwać, żeby się nie przerażała przerażeniem tej pani, katoliczki — jak by powiedział Głowacki — co krzyknęła na premierze: O Jezu! — kiedy zaczęły się właściwe bciachy, czyli ucinanie rąk, nóg, wieszanie oraz polska próba harakiri.

Można by napisać o sztuce Janusza Głowackiego, że jest parodią teatru okrucieństwa, absurdu czy filozofii egzystencjalistycznej; można by się spierać, czy wyznanie Bula, że brak mu idei jest rodem z „Tanga” czy „Ślubu”, można by dowodzić, że postać Joanny to ersatz wszystkich Starych Becketta i Ionesco, a nawet „Starej kobiety, co wysiaduje” niespełnione macierzyństwo; można by, gdyby Krystyna Meissner, reżyserka prapremierowego spektaklu, tak ostro nie zaakcentowała kabotynizmu bohaterów i tak zdecydowanie nie postawiła na groteskę, komedię. W tej sytuacji spieranie się o cokolwiek z powyżej wymienionego byłoby głupie i bez sensu.

Dostaliśmy bowiem komedię ostrą o pustce życia, w którym ludzie się ranią słowem i tasakiem, żeby nareszcie się coś działo. I słowo nie jest nowe i tasak jest zardzewiały. Wszystko to znamy. Przede wszystkim tym się bronimy. Tylko, że to lubi wchodzić do mieszkań, które są z pozoru ładne, nachodzić ludzi, którzy są z pozoru kimś, a pewnego dnia, założywszy nogę na nogę, już tylko czekają. Na co? Ano, Beckett

mówił, że na Gódotę, a Rózewicz, że na małą stabilizację. I jeszcze mi się przypomina Felicjan Dulski, który z repeterem w ręce czekał codziennie na swój godzinny spacer na kopiec Kościuszki, odbywany dookoła stołu...

— Jesteś dziwka — powie Jan Joannie i który to raz powie!

racą historii jednego z małżonków, by podzielać jeszcze bardziej usypiająco na drugie i wreszcie zjawi się Bulo, młody, skacowany człowiek, co jak deus ex machina spróbuje zapłacić pustkę. Czym? Ostrą kpiną z wszelkich bogów mechanicznych współczesnej dramaturgii. I tu wysunie pazur szelmowski

ni nazwał karczemnym. Radziłabym tej pani, zamiast na „Obciach”, pójść pod pierwsze lepsze liceum, na pierwszą lepszą budowę i do pierwszego lepszego pijanego sąsiada. Ta pani zapewne czytuje pilnie gazetę, gdzie my, dziennikarze, strasznie się boimy nawet niewinnej dupy, o której nasz klasyk już przed wojną napisał całą rozprawę. Więc piszemy wytwornie, że rzecz jest do bani. Dlatego w tym momencie, żeby nie zdarzył mi się obciach — przemowę do pani zakończę...

Sztuka nie jest dla dzieci i dla pań, które Mollier nazywał preceuses ridicules; ale dla młodzieży, gdyby młodzież chciała się zastanawiać, może być lekcją, jak niewiele trzeba działać, żeby na stare lata założyć nogę na nogę i czekać.

Napisałam to wszystko wbrew autorowi, który w programie przewrotnie wyjaśniając jej interpretację, dodał:

„Sens sztuki nie ma zresztą, jak wiadomo, większego znaczenia”.

Też mogłabym się z nim zgodzić przewrotnie i podlizując, że nie ma, gdybym była pewna polskiego poczucia humoru. Nie jestem.

A potem Głowacki poważnie poprosił widza o ingerencję:

„Chciałem natomiast zwrócić uwagę Państwa na sprawę ważną. W przypisach do tekstu wyraźnie sugerowałem, że palec musi zostać obcięty naprawde, podobnie musi powieścić się Bulo itd. Żadne triki ani sztuczki techniczne nie wchodzi w grę. Obawiam się, że kierownictwo teatru będzie usiłowało pozabawić Państwa tych satysfakcji. Wtedy powinniście Państwo ująć sprawę w swoje ręce”.

Nie pomylił się Głowacki. Kierownictwo Teatru im. W. Siemaszkowej oczywiście usiłowało pozabawić Państwa tych satysfakcji. Ale aktor, świętny zresztą

Bulo Jana Mitki, w jednym z przedstawień tak się „zagrał”, że był o krok od powieszenia się naprawdę. Co zbulwersowało publiczność, otrzeźwiło aktora, a kierownictwo teatru przyprawiło o atak serca. Powinien to wiedzieć zatem i Głowacki, żeby nieco stemperować sadystyczne didaskalia w następnych swoich sztukach.

Wracając zaś do „Obciachu” — prapremiery polskiej na Małej Scenie Teatru im. W. Siemaszkowej: cała trójka protagonistów doskonale wskoczyła w nastroj kpiny. Barbara Bardzka, Adam Fornal oraz Jan Mitka obcinali i ciachali z prawdziwie sado-masochistyczną rozkoszą. A że spektakl zaczął się już przed drzwiami teatru i ciągnął się poprzez wazieński hall oraz jeszcze węższe schody — to już zawdzięczamy nie tylko wizji drapieżnej Krystyny Meissner, która wciągnęła do pracy absolwentów Liceum Sztuk Plastycznych w Sędziszowie, ale i Barbarze Burównie, która oprawą scenograficzną kierowała. Weszliśmy tedy do mieszkania Jana i Joanny przez panopticum starych manekinów, „spotworniałych kukiel, blichtru wszelkich staroci. W tym umownym przedpiekle Mała Scena raz jeszcze okazała się pięknym przybytkiem na kameralne spotkanie z widzami, raz jeszcze nasunęła myśl o zmarowanych przez tyle lat szansach i zarazem nadzieję, że „Obciach” może potwierdzi jej przydatność na prapremiery, czy bodaj premiery dramaturgii współczesnej, małoobśado-wej, dyskusyjnej.

KRYSZYNA ŚWIERCZEWSKA

Teatr im. W. Siemaszkowej — Janusz Głowacki: „Obciach”. Reżyseria: Krystyna Meissner. Scenografia: Barbara Burówna i absolwenci Liceum Sztuk Plastycznych w Sędziszowie. Asyst. reż.: Adam Fornal. Osoby: Joanna — Barbara Bardzka, Jan — Adam Fornal, Bulo — Jan Mitka. Prapremiera — maj 1976 r.

Na zdjęciu:
Barbara
Bardzka jako
Joanna i Jan
Mitka jako Bu
lo.

Fot. Z.
POSTĘPSKI



— A ty skurwysyn — odwziewa się Joanna Janowi.

Wszystko w tonie pogwarki „co słycać?” — „nic nowego”. Spokojnie, elegancko, w nudzie.

I może trochę w odwecie za nienapisaną książkę. Albo za nieudane aktorstwo. Bo obojgu coś się nie udało w działaniach twórczych, nawet wspomnienia mają nudne, nieudane. Czyichś łózek, czyichś sukcesów. Już nawet nie chce się dochodzić, kto kogo i gdzie zdradził, tak nieważne były te zdrady, kto i jak sformułuje swój pogląd, tak miały być bowiem te poglądy.

Czasem wystrzelił tylko

Głowacki, tu zacznie się obciach, obcinania, parodia bardzo śliczna wszelkiego kabotyństwa. Jeden paluszek za pieniądze, jedno powieszonko za potrzebę idejki, jedno harakiri za patetyczny geścik, jedna rączka za braterstwo i jedna nóżka za miłość. Bond się kłania i scena z wydubywaniem oczu Lirowi obracaną machiną, która drewna się na skrzypiącą korbę...

Śmiejemy się w tym spektaklu Krystyny Meissner często. Czasem wstydliwie. Śmiejemy się z wyszydanych stereotypów i z brutalnych point Głowackiego, którego język jedrny codziennością pewna pa-